ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. niedziela, 7 stycznia 1934 r. Nr. 2

Stanisław Piasecki

Chłopy idą

Cywilizacja nie rodzi się z dnia na dzień, ani powstać może ni stąd ni zowąd, sklecona z rozsypki — nie ukręcisz bicza z piasku. Cywilizacja tworzy się pospólnie, społecznie, z pokolenia na pokolenie, długą i mozolną uprawą. Jej warunkiem nieodzownym jest o s i a d ł o ś ć tych, co ją tworzą. Cywilizacje koczownicze, cygańskie, są kalekie lub karłowate. Brak im trwałości uprawy na tej samej glebie, w ciągłem przeszczepianiu i przeflancowywaniu cherlają, wątleją, marnieją, jak rośliny doniczkowe. Nie czerpią soków z ziemi.

Kryzys naszej współczesnej cywilizacji jest w znacznej mierze kryzysem osiadłości t. zw. elity kulturalnej, cherlającej w wielkich miastach — doniczkach. Urbanizacja i industrjalizacja z roku na rok coraz to bardziej przemieniała typ życia tych, którzy mienią się być twórcami cywilizacji, w typ życia koczowniczy. Dziś tu, jutro tam, żadnych związań stałych, żadnej ciągłości. Miałkość i sypkość. Więc przy lada wietrze — tuman kurzu i nic więcej.

Zrazu nie dostrzegało się zabójczego wpływu urbanizacji nowoczesnej na życie kulturalne. Przeciwnie. Wymieszanie w wielkomiejskim tyglu różnolitych pierwiastków, przyniesionych ze sobą, dawało twórcze pokrzyżowania, olśniewające kombinacje. Ale nic z tego nie osiadło, nic nie okrzepło. Zatracało swoją barwę —nie umiało stworzyć nowej barwy trwałej. Aż się zaczęto wstydzić tej bezbarwności i chować w noc. W ciemnościach nocy niema wstydu. Więc — p o d r ó ż d o d n a n o c y.

Sprawozdanie z tej podróży, z całym cynizmem opisanej w powieści Celine'a, obnażyło w sposób przerażający proces rozkładu dokonany przez wielkomiejskie koczownictwo na żywym organizmie cywilizacji. Jeszcze w Polsce ten proces nie posunął się tak daleko, jak we Francji, ale już i u nas, choćby w literaturze takich Uniłowskich, czy Rudnickich, pojawiły się pierwsze sygnały alarmowe. Tej miejskiej, miałkiej, sypkiej „elicie", składającej się z koczowników, łazików i wagabundów, niczem niezwiązanych, nie mających swego miejsca na ziemi, nic pozostaje nic innego, jak zagłębić się w noc — a któż z nas inteligentów, mieszkających dziś na Mokotowie, a jutro na Ochocie, pracujących dziś tu, jutro tam, a pojutrze bezrobotnych, nie jest potrosze zarażany bakcylem koczownictwa?

Wielką wylęgarnią tych bakcylów stał się nowoczesny, wielkokapitalistyczny ustrój gospodarczy, który zniszczył małe warsztaty, podstawę osiadłego i przeto twórczego cywilizacyjnie mieszczaństwa dawnoczesnego, który ku rozrostającym się potwornie miastom pchnął obietnicą łatwego zarobku masy związanego dotąd z ziemią ludu, który wciągnął w swą orbitę rozbitków wyzutej z ziemi szlachty. Wszystkich zamienił w koczowników, pozbawionych własnego stylu życia, coraz dalszych własnym tradycjom cywilizacyjnym, coraz samotniejszych w szarych miejskich murach. Jednych — tych sprytniejszych i mniej posiadających skrupułów — wywindował ku górze nowoburżuazyjnego, bezstylowego luksusu, małpiarsko naśladowanego z najzewnętrzniejszych, połapanych to stąd, to zowąd cech dawnych, zniszczonych warstw — drugich, liczniejszych, sproletaryzował, zepchnął w dół, uczynił z nich bezkształtną masę ludzi, żyjących naprzemian to indywidualnemi nadziejami na rockefellerowskie karjery, to zbiorowym gniewem i zaprzysięganiem zemsty. A i tych na górze, i tych na dole, pchnąwszy raz w koczownictwo, pozbawił najistotniejszego czynnika twórczości cywilizacyjnej: osiadłości, związku z ziemią, łączności pokoleń. Ci zgóry snobują się własnym rozkładem (spośród nich rekrutują się entuzjaści Celine'a), ci zdołu, marząc skrycie o zajęciu miejsc na górze, snobują się wygrażaniem. T. zw. literatura proletarjacka jest literaturą wygrażania, ubraną zresztą w bardzo burżuazyjną formę pisarską. Proletarjusz - koczownik jest tak samo nietwórczy, jak i burżuj - koczownik. Twórczość, z samej swej istoty, jest aktem przekazywania siebie następnym pokoleniom. Człowiek z psychiką przechodnia nie dba o to. Pasjonować to może tylko człowieka osiadłego.

Toteż twórczość cywilizacyjna jest zawsze dziełem tych warstw narodu, które przez swą osiadłość z dziada pradziada i przez poczucie odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń, stanowią jego rdzeń trwały.

W Polsce, jako że nie mieliśmy nigdy silniejszej, własnej warstwy mieszczańskiej, twórcami cywilizacji narodowej byli przedewszystkiem szlachcic i chłop. Szlachta — to była tej cywilizacji kinetyka, w warstwie chłopskiej był tej cywilizacji potencjał do którego nieraz sięgano, gdy szlachecka kinetyka słabła w napięciu. Czemże innem, jeśli nie sięgnięciem do złóż kultury ludowej był romantyzm, kiedy szlachecki klasycyzm epoki stanisławowskiej zaczął kostnieć i sztywnieć! Czemże innem, jak nie następną skolei próbą odnowy był okres Młodej Polski, kiedy już nietylko sięgnięto do skarbnicy sztuki ludowej po tworzywo, ale z chłopskiej warstwy wydobywać się zaczęli Kasprowicze i Reymonty!

Od tych czasów proces demokratyzacji narodu posunął się znacznie dalej. Chłopi wchodzą spoza wsiowskich opłotków wielką ławą w polskie życie publiczne. A zbiega się to z coraz gwałtowniejszem wysychaniem w warstwie inteligenckiej źródeł kultury szlacheckiej, wyparowującej swe ostatki w dusznych murach miast, pozbawionej naturalnych dopływów z ginących pod młotkiem licytacyjnym dworów i dworków, mąconej odchodami wielkomiejskiej hałastry.

Rozróżnienie pomiędzy cywilizacją szlachecką i chłopską ma tu zresztą znaczenie tylko historyczne. To jest cywilizacja jednorodna, na tej samej ziemi wyrosła, przez tę samą przyrodę kształtowana, mająca ten sam styl wewnętrzny, ten sam w najgłębszej swej istocie obyczaj polski. Ważne jest rozróżnienie inne: pomiędzy cywilizacją osiadłą a cywilizacją koczownicza. Pierwsza jest cywilizacją narodową, której budowniczymi byli szlachcic, mieszczanin i chłop, każdy z nich w takiej mierze, w jakiej jego warstwa brała dotąd udział w życiu publicznem. Druga to produkt industrjalizacji kosmopolitycznej, ginącej dziś samobójczą śmiercią od sprowokowanego przez nią samą kryzysu gospodarczego, ale zatruwającej jeszcze ciągle atmosferę.

Przez okres tych wyziewów z celine'owskiego dna nocy trzeba przenieść dobro cywilizacji narodowej i nie dać mu zniszczeć. A trzeba na to świeżych, niezużytych sił i krzepkich ramion. Te świeże siły na szczęście są i coraz wyraźniej się zarysowują w polskiem życiu. Głucho o nich narazie w naszym światku literackim, zajętym Akademjami i nagrodami. Chłopy idą? A gdzie to? Nic jakoś nie słychać...

Ja tam słyszę ten miarowy rytm chłopskich kroków, który niedługo już zadudni, musi zadudnić potężnie poprzez polską literaturę. Widzę nawet forpoczty.

Taką przedewszystkiem forpocztą wydaje mi się niezauważony dotąd przez krytykę tomik poezyj Stanisława Młodożeńca „Gamy i pejzaże".*) Twardych chłopów rodzi sandomierska ziemia. Trzeba niebylejakiej odporności, ażeby tak, jak Młodożeniec, przeszedłszy przez sam środek futuryzmu krakowskiego (uwielbienie maszynizmu! antyrustykalizm!), nic nie zatracić z chłopskiej, samorodnej treści, wrócić na dobrocicki wąkop i powiedzieć sobie: tamto, to były tylko gamy, teraz wracam do swojego, chłopskiego pejzażu. Owe futurystyczne gamy, dziwaczne nieraz i mało zrozumiałe, zamieścił Młodożeniec w pierwszej części swego zbioru poezyj. I słusznie, że je zamieścił. Czytelnik bowiem ma możność stwierdzenia naocznego, jak te zdobycze formalne w ekspresji słowa i rytmie, które wyniósł Młodożeniec z futuryzmu, użyte zostały przez niego do dźwiękowego i rytmicznego wzbogacenia siły wyrazu epickich wierszy, wbudowanych w wiejski pejzaż, a to „O Jasiu Dobrochu, zbóju Lichocie i rudym mańkucie", a to „Na weselu", a to „Pieśni o lnie". Każdy wiersz Młodożeńca jest właściwie gotowem słuchowiskiem. (Tyle się pisało o wpływie kina na literaturę — tu rysuje się coś, jakby wpływ radja). Wierszy Młodożeńca trzeba słuchać, żeby wczuć się w ich całą krasę. Pomyślane są—dźwiękowo. (Szereg utworów, które weszły w skład zbioru „Gamy i pejzaże", drukowaliśmy na łamach „ABC", nie trzeba zatem przykładami ilustrować czytelnikom tajemnicy ich przedziwnej rytmiki i dźwiękowości).

Wiersze Młodożeńca, te ostatnie, z drugiej połowy zbioru, są przytem bojowo chłopskie. Młodożeniec idzie w awangardzie poezji chłopskiej (nie tej ocukrzonej „ludowej", ale właśnie chłopskiej). Stąd buńczuczność i zadzierżystość, jak to zawsze w walce. Coś tam się dostanie i plebanowi i dziedzicowi — ale przedewszystkiem pachciarzowi. I zadźwięczy mocno duma — nie boi się Młodożeniec tego słowa — chamska. Trochę w tem retoryki, ale znacznie więcej pasji nowej polskiej literatury rodem ze wsi, która idzie, aby wesprzeć i trochę zluzować wysiloną już literaturę szlachecką, wywodzącą się z tego samego pnia osiadłej cywilizacji narodowej.

Nietylko w poezji.

Jednym z przedstawicieli nowej prozy chłopskiej (nawskroś świeżej, nie stylizowanej na ludowość, ale prawdziwej i szczerej) jest Wincenty Burek, krajan Młodożeńca z Sandomierskiego, znany również czytelnikom „ABC" z utworów, drukowanych na łamach naszego pisma. (W dzisiejszym numerze nowela p. t. „Waluś"). I to talent pierwszej wody, samorodny, wnoszący do polskiej literatury wartości nowe i rzetelne.

Ile zaś tam po chłopskich skrzyniach kryje się rękopisów niedrukowanych, które nie znalazły sobie dotąd drogi do redakcyj i wydawców! Jeden z nich otrzymałem niedawno wraz z listem, który niech będzie rekomendacją trzeciego autora chłopskiego, jakiego dziś prezentujemy czytelnikom, Jana Brzuzy z Nowego Sącza:

> Wielce Szanowny Panie!
>
> Z uczuciem radości przeczytałem w dodatku literacko - artystycznym „ABC" artykuł Pana p. t. „Poezja marki Staff". Przecież nareszcie zasłużona ocena spotkała wierszyczki, rozmnożone nagminnie i wniosła zdrowy powiew w te zaczadzenia staffizmem i majaczenia liryczne!
>
> Mając jednak wątpliwości, czy jestem na dobrej drodze, zwłaszcza zaś, czy prostota i szczerość moich wierszy ma jakąś wartość literacką, ośmielam się — zachęcony tonem artykułu — poprosić Pana o zdanie i radę. Napisałem cykl utworów epickich, obrazujących życie wsi polskiej na przełomie teraźniejszych czasów, gdy giną na wsi oryginalne, rodzime obyczaje domowe, a przeszczepiają się z miast i ze świata nowe.
>
> Na chybił-trafił dołączam kilka najkrótszych i luźnych obrazów z uprzejmą prośbą o wyrażenie ogólnej opinji i zarazem — jeśli uzna Pan ten rodzaj epiki za kwalifikujący się do druku — o łaskawe poparcie wobec któregoś z wydawnictw warszawskich. Mieszkając na prowincji nie mam stosunków; rękopis zastraszony buffonadą staffizmu, leży w kufrze i ostudza zapał do dalszej pracy.
>
> **Jan Brzuza".**

Wiersze, przysłane przez Jana Brzuzę, drukujemy w numerze. Niechaj opinję o nich wyrobią sobie czytelnicy. Cokolwiek możnaby powiedzieć o mickiewiczowskim trzynastozgłoskowcu, jakim są pisane, czy nawet o pewnym wewnętrznym rytmie, przypominającym to sielanki Szymonowicza, to znów satyry bisk. Krasickiego, choć bezpośredniość chłopska zarówno językowa, jak obrazowa jest jakby (i niepotrzebnie) zahamowana przez tamte wzory literackie — to jednak czuje się tu w każdej zwrotce świeżość opisu i świeżość obrazu. O orce pisze nie jej obserwator, ale ten, co musiał chodzić za pługiem, o sianokosach ten, co trzymał kosę w garści, o przyrodzie ten, kto w niej tkwił od dziecka. W wierszach tych jest nowe w literaturze spojrzenie na rzeczywistość — a to najważniejsze.

Chłopy idą!

*) STANISŁAW MŁODOŻENIEC: Gamy i pejzaże. Warszawa, 1934. Nakł. Wydawnictwa „Wąkop". Str. 125.

Alfred Jesionowski

Dział, którego niema... i książka, która jest

Posiadamy nieźle rozwiniętą prasę prowincjonalną, dzienniki i dzienniczki lokalne, rozchodzące się w kilkuset nierzadko w kilkutysiącach egzemplarzy na najbliższą okolicę, czasem w promieniu dość znacznym. Niektóre z tych dzienników pojmują swe zadanie poważnie, informują solidnie, dysponują nierzadko zdolnymi publicystami, czujnymi nietylko na sprawy lokalne i miejscowe skandaliki. W Wielkopolsce niemal każde miasto powiatowe posiada swój własny organ, podobnie Pomorze i Śląsk dysponują szeregiem pism miejscowych, analogicznie zapewne przedstawia się sprawa w innych województwach. Dziennik miejscowy oczekiwany jest każdego dnia jednako niecierpliwie, czytuje się go od deski do deski, po południu, gdzieś w parku miejscowym, wieczorem w knajpce lub w domu — dyskutuje się wyczerpująco ważniejsze wiadomości i artykuły, jakie dziennik przyniósł. Jak i wielkie pisma — nie ograniczają się dzienniki prowincjonalne do wiadomości politycznych i lokalnych, ale informują o sprawach gospodarczych, nie pomijają oczywiście sportu, prowadzą dział „kobiecy" (przepisy gospodarskie, mody i t. p.), poświęcają perjodycznie stronicę swego pisma dzieciom.

Jest więc o wszystkiem potrochu, tylko niema jednego działu: — działu poświęconego sprawom kulturalnym. To zn. — owszem, jest — ale czysto lokalny, gdzie jaki występ, jakie towarzystwo wystawiło gdzieś jakąś sztuczkę o koncercie miejscowego chóru, repertuar miejscowych kin. Nic natomiast niema, albo bardzo niewiele o sprawach kulturalnych z poza zasięgu miasteczka, niema kącika poświęconego książce.

Ostatnio organizowany „Tydzień Książki" ograniczał się zapewne, jak zwykle, do uroczystych Akademij", do podniosłych przemówień na temat wielkiego znaczenia książki, odczytało się parę wyjątków z rozmaitych bylejak dobranych pisarzy, a w najlepszym wypadku organizowało się „Wystawy Książek". Efekt — jak każdego roku — księgarz miejscowy sprzedał z 5 — 6 egzemplarzy więcej niż normalnie. Gdyby te wszystkie przemówienia i Akademje poparte były artykułami w prasie, omówieniem kilku ciekawszych publikacyj ostatnio wydanych — efekt z pewnością byłby inny. Ten czytelnik, który swoją gazetę czyta od nagłówka do anonsów nie byłby przepuścił artykułu o książce, nie byłby pominął działu: Co przeczytać warto? Jeśli książkę sugestywnie zalecić, a cena jej na poziomie przeciętnej kieszeni — z pewnością ten czy ów czytelnik zaglądnie do miejscowej księgarni.

W ostatnim „Tygodniu Książki" znacznie było łatwiej namówić publiczność do kupienia książki — bo na przeszkodzie nie stały już wysokie ceny książek. Szkoda tylko, że właśnie o Nowej Serji „Roju" mało kto wiedział, przynajmniej na t. zw. „głuchej prowincji". O taką przecież książkę kruszyła kopje prasa stołeczna, domagając się książki dobrej, dobrze wydanej a równocześnie taniej. Książka z „Nowej Serji" „Roju" kosztuje 3 (trzy) złote — a zupełnie niedawno w samym „Roju" także 6 — 8 złotych i więcej. Książki tej serji wydane są starannie, na dobrym papierze, mają wyrazisty druk, odznaczają się dbałą korektą i estetyczną szatą zewnętrzną. Serja zawiera nietylko powieści znakomitych autorów polskich i obcych, ale obejmuje również modne dziś (nie bez słuszności zresztą) reportaże, szkice z dziedziny literatury i sztuki, prace na aktualne, żywotne tematy — więc naprawdę szeroki i dobrze obmyślany dobór tematów. Spodziewać się należy, że w ciągu swego rozwoju obejmie jeszcze inne dziedziny, jak podróże, zagadnienia społeczne i polityczne, naukę. Ale i to, co się na początek w tej serji ukazało, zasługuje ze wszech miar na uwagę.

Dość wymienić, że właśnie w tej serji ukazała się znakomita powieść Gojawiczyńskiej o Śląsku, ciekawa powieść Grabskiego p. t. Bracia, Meissnera: Latający Djabel, zbiorowa praca kilku autorów, wśród których Nałkowska, Morcinek, Boguszewska. (Przedmieście) — dalej pojawiły się w tej serji fascynujące szkice Adolfa Nowaczyńskiego, który już dawno nic nowego nie wydał, a obecnie równocześnie z dwoma tomami wystąpił, pojawiły się głęboko przemyślane feljetony Stanisława Piaseckiego, zapowiedziana jest powieść Mostowicza i innych młodszych i starszych autorów.

„Nowa Serja" Roju realizuje w ten sposób od dawna wysuwany apel do firm wydawniczych o tanią, dobrą i ładną książkę, książkę na kieszeń każdego, który jej naprawdę pragnie. Ale o tem niewiele kto będzie wiedział, jeśli właśnie prasa prowincjonalna swych czytelników o podobnych wydawnictwach nie będzie informowała, bo spodziewać się należy, że dobry przykład Roju znajdzie naśladowców. Propaganda czytelnictwa winna stanowić stały dział wszelkiej prasy perjodycznej, szczególnie zaś prasy codziennej, ten obowiązek ma prasa wobec rodzimej kultury. Pośrednictwo, choćby w najprostszej formie, pomiędzy czytelnikiem a wydawnictwem jest potrzebne. Trzeba więc, aby egzemplarz recenzyjny znalazł się nietylko na biurku redaktora stołecznego pisma, ale właśnie pisma prowincjonalnego. Zawsze znajdzie się w miasteczku ktoś kulturalny, chętny, który za cenę egzemplarza recenzyjnego podejmie się omówienia choćby raz na tydzień jednej ciekawej nowej książki.

W ten sposób stanie się nietylko doradcą czytelników pism prowincjonalnych, propagatorem czytelnictwa, ale spełni ważną misję kulturalną wobec rzesz inteligencji, które los rzucił na „głuchą prowincję". Co prasa znaczy w tej właśnie dziedzinie widzieliśmy z imprez, organizowanych przez „ABC": ludzie kupowali książki wartości kilkudziesięciu złotych jedna. Poszczególne syndykaty prasowe, zrzeszenia dziennikarzy szczególnie pism prowincjonalnych w porozumieniu z wydawcami powinny tej sprawie poświęcić baczniejszą uwagę. Sądzę, że „kryzys książki" minąłby bardzo szybko, bo ludzie są spragnieni dobrej książki, byleby ją nabyć można po niewygórowanej cenie. Szczęśliwa inicjatywa Roju przez nową serję jest poważnym krokiem naprzód w tej sprawie.

Stanisław Młodożeniec

Wyjaśnienie*)

Dość już, dość delikatnieć
i pora, że nie jałowieć!
Chamstwo gruchnęło ostatnie
na generalną spowiedź...

Długo, za długo tam rajcowali
pleban opaśli z dziedzicem —
to czas postukać przy konfesjo-
[nale
w te grube, szorstkie palice...

Nic nie pomoże usłużny pach-
[ciarz,
co z pańska przebiera cycełes —
chamstwo gruchnęło — i patrz-
[cież:
naprzeciw trójka zdętych ku-
[kiełek.

I ślozki nanic frymuśnych babin:
— „Kultura — pieski — w a-
[gonji!"
Kosy, cepy i grabie —
na uździenicy Pegaz pogonił...

„Kulturę" bies wam szychował —
chrońcie-ż ten jazzband kultur-
[ny, —
my do niebieskich pował
i gnój podniesiemy w urnie...

Długi — nasz głębszy z ziemią
[rodowód —
u was — tam piana i powierzch-
[nia.
To pora, pora chamskiemu słowu
tę ziemię rozdzwonić w pieśniach.
Chamskiemu słowu winna Oj-
[czyzna,
że Śląsk, że morze...
Któż się tam do niej cokiedy
[przyznał?
Jeden — on jeden — cham ją
[pomnożył...

Gruchnęło chamstwo. Marsz nie-
[regularny
i rytm chropawy, bo jeszcze...
Kiedyś słowiki tę ziemię zagarną
dla chamskich słów — anielskich
[pieszczot.

*) Wiersz stanowi zakończenie zbioru „Gamy i pejzaże", który świeżo ukazał się z druku. Patrz artykuł St. Piaseckiego „Chłopy idą".

Nasza ankieta

Jaką najciekawszą książkę przeczytałem w roku 1933?

Tad. Dołęga-Mostowicz
Warszawa

NICOLAS DE MALEBRANCHE: — La recherche de la vérité.

„La recherche de la vérité" będzie rewolucją dla każdego czytelnika dzieł Bergsona, sir James Jeans'a i Henryka Poincaré'go. Wnioski filozoficzne, do których doszła dzisiejsza nauka, zarówno fizyka i astronomja, jak biologja i matematyka są w treści swej identyczne z tem, co twierdził Malebranche przed 260-ciu laty, kiedy jeszcze nie śniło się nikomu o teorji kwantów, czy pomiarek elektronu, a na Mount Wilson leżał dziewiczy śnieg.

Trzeba było prawie trzech wieków żmudnej pracy przyrodników i matematyków, trzeba było największego wysiłku i największej precyzji metody materjalistycznej, by okazać, że cała jej potęga jest dziecinną zabawką wobec prawd, do których duch człowieka sięga myślą bez posiłkowania się laboratorjami i obserwatorjami.

Z górą dwieście lat trwał ten objazd boczną d:‑‑ą poto, by wrócić na stary platoński trakt, na którym Malebranche w siedmiomilowych butach przej rowadził swoją recherche de la vérité. Ludzkość ma czas, do licha!

Dużo dałoby się powiedzieć o skutkach tej kawalerskiej jazdy wertepami, o kryzysie moralnym, który obecnie przeżywamy i o wielu innych rzeczach, przychodzących na myśl dzisiejszemu czytelnikowi Malebranche'a, ale to już wykracza poza rar ‑nkiety.

Prof. E. Loth
Warszawa

FELIKS KOPERA PROF. DR.: Dzieje malarstwa w Polsce.

Trzytomowe dzieło Franciszka Kopery stanowi dla przeciętnego inteligenta, zajmującego się sztuką, rewelację o bogactwie i wszechstronności malarstwa w Polsce.

Obficie ilustrowane i pięknie wydane daje ono nawet przy pobieżnym przeglądzie pełny obraz rozwoju artystycznego w naszym kraju.

Uzupełnione licznemi reprodukcjami zbiorów prywatnych, niedostępnych dla zwykłego śmiertelnika, mówi o skarbach, które choć nie zebrane w muzeach, temniemniej świadczą o naszej dalszej i bliższej przeszłości.

Jan Mosdorf
Warszawa

ALDOUS HUXLEY: „Nowy, wspaniały świat".

Książka ta mogłaby nosić tytuł: ku czemu idziemy. A raczej: do czego doszlibyśmy, gdyby bieg dziejów ludzkich rozwijał się stale w tym samym kierunku, kierunku materjalistyczno - hedonistycznym. Z nadzwyczajną bystrością, z gryzącą ironją ze znakomitą plastyką roztacza przed nami autor ponury obraz „szczęśliwego" świata. Jest to jakby rozszerzony do ram powieści aforyzm Johna Stuarta Milla: „Lepiej być niezadowolonym Sokratesem, niż zadowoloną świnią". I choć Huxley, mocny w negacji, nie umie jej w gruncie rzeczy nic przeciwstawić (stąd pesymizm książki), to jednak samo postawienie zagadnienia: „Quo vadis, orbis terrarum?" czyni z „Nowego, wspaniałego świata" trwały dorobek europejskiego pośmiennictwa.

Jan N. Miller
Warszawa

J. PERRIN, P. LANGEVIN, G. URBAIN, L. LAPICQUE, CH. PEREZ et L. PLANTEFOL — L'Orientation actuelle des Sciences. Paris 1930.

Sądzę, że najważniejszą sprawą w dziedzinie myśli w chwili obecnej jest nawrót do koncepcji Comte'a budowania filozofji, opartej na wynikach nauk poszczególnych. Gdy w swoim czasie filozofja była sługą teologji, obecnie nauki wszystkie stają się sługami filozofji, opartej na uwzględnieniu i uogólnieniu stanu wiedzy spółczesnej.

Po przejściowej reakcji przeciwko pozytywizmowi Comte'a od czasów Duhema i Poincarégo nieporozumienia między nauką i filozofją zaczęły się zmniejszać.

Nauka obecna znajduje się pod znakiem kryzysu logiki matematycznej, determinizmu fizycznego i transformizmu biologicznego. Kruszenie się podstaw dotychczasowego na świat poglądu zmusza filozofję do zasadniczego przetasowania pojęć.

Na podstawie zdobyczy fizyki najnowszej można budować wbrew wszelkim dotychczasowym nałogom myślowym całkowicie indeterministyczny obraz świata, w związku z tem należałoby oczekiwać rewolucji pojęć w naukach humanistycznych.

Czujne więc i chwytne badanie wyników wiedzy spółczesnej wydaje mi się jako literatowi obecnie sprawą najważniejszą, cytowana zaś w nagłówku zbiorowa praca francuskich uczonych, profesorów Sorbony i Collège de France, ułatwiając mi orjentację w nauce spółczesnej, wysunęła się narazie na czoło moich zainteresowań książkowych.

Juljusz Osterwa
Kraków

BRAUN: Rewolucja; KRUCZKOWSKI: Kordjan i cham; MORSTIN: Rzeczpospolita poetów.

Bardzo przepraszam, że nic w tym (1933) roku nie odpowiedziałem na ankietę. Leżałem dwa tygodnie chory — a teraz sypią się premjery jedna po drugiej.

W ubiegłym roku (jak zwykle) — mało czytałem książek. Przeważnie utwory sceniczne i to w rękopisach. Trzy sztuki nigdzie dotąd nie grane zrobiły na mnie mocne wrażenie: Brauna „Rewolucja", „Kordjan i cham" L. Kruczkowskiego oraz „Rzeczpospolita poetów" L. W. Morstina.

Jan Rembieliński
Warszawa

ANTONI MAŁECKI: „Wybór mów staropolskich świeckich, sejmowych i innych", Kraków 1860. Wyd. K. J. Turowskiego.

Czytając te pełne mądrości i powagi, głębokiem poczuciem odpowiedzialności za przyszłość Rzplitej przeniknięte przemówienia: Jana Zamoyskiego, Stanisława Żółkiewskiego, Jana Ocieskiego, Świętosława Orzelskiego i innych, uprzytomniałem sobie rządność i obyczaj polityczny dawnej Polski, o ileż wyższy, godniejszy, a przedewszystkiem bardziej zachodnio-europejski, niż prymitywizm „miarodajnych" dziś częstokroć poglądów i metod.

Równocześnie, czytając mowy z epoki saskiego upadku, wyzute z wszelkiej godności osobistej, pełne panegirycznych pochlebstw pod adresem wysoko postawionych jednostek, a przedewszystkiem przepojone płaskim, oficjalnym optymizmem, że Polska Augusta II i Augusta III budzi zazdrość i zachwyt w całym świecie — zapominałem chwilami, iż mam przed oczyma oracje sprzed lat około dwustu, zdawało mi się, że założyłem na uszy słuchawki radjowe — i dolatują mnie dźwięki jakichś znanych dobrze, aktualnych oświadczeń i odczytów...

Nic ciekawszego — i bardziej pouczającego zarazem, aniżeli takie zestawianie chwili bieżącej z doświadczeniami przeszłości.

Tydzień książki

KUŚMIERSKI J.: Strzępy. Poezje. 8° str. 96. Warszawa, 1933. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.50.

MOSZCZEWSKA W. i MROZOWSKA H.: Przewodnik metodyczny do podręcznika Historji na kl. I. gimn. 8° str. 43. Lwów, 1933. Ossolineum. Zł. 0.90.

Kodeks zobowiązań. 8° str. 280. Warszawa, 1933. F. Hösick opr. Zł. 2.20.

Kodeks zobowiązań. 8° str. XIII plus 281. Kraków, 1934. Księgarnia Powszechna. Opr. zł. 3.60.

Przepisy wyborcze do rad miejskich na obszarze wojew. krakowskiego, lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego. 8° str. 56. Stanisławów, 1933. Dom Książ. Pol. Zł. 1.10.

RAPPE W. E. dr.: Systemy nadzoru nad fundacjami w ustawodawstwie obowiązującem na ziemiach Polski w świetle prawa porównawczego. 8° str. 207. Lwów, 1933. Ossolineum. Zł. 6.

Kodeks zobowiązań wraz z przepisami wprowadzającemi Rozporządzenie Prezyd. Rz. z dn. 27 Paźdz. 1933. 8° str. 179. Lwów, 1933. B. Połoniecki. Zł. 2.20.

Jan Brzuza

Na wsi

Orka

„Hetta! wiśta! wio! siwki, zbierajcie kopyta,
Postronkom i orczykom nie folgujcie zbytnio,
Trzeba rolę zaorać pod uprawę żytnią,
Bo w chacie prócz ziemniaków skąpo na chleb żyta!"

Już w ziemię pług się zarył i lemieszem kraje
Skiby długie i na bok w pokład je odtrąca,
Kraje ziemię, aż zagrzał się od jej gorąca,
Gdy przeorał tak łanów jedno, drugie staje.

Oracz, idąc za pługiem, śledzi, czy się gleba
Opiera lemieszowi, czy wpuszcza głęboko,
Czasem rzuca czepigi, podbiega sam zboku
I wznosi lub obniża grządziel, ile trzeba.

Skiby lśnią w rannem słońcu jaśnią migotliwą
I nagrzane się kurzą wilgotnym oparem,
Robactwo odsłonięte szuka, gdzieby w szparę
Wleźć i dalej robotę prowadzić pod niwą.

Za pługiem towarzysze niebiescy oracza
Struwają na łan chmurą i czyszczą z robactwa
Świeże skiby; koniki prychają do ptactwa,
Gdy pług skręca napowrót lub na stronę zbacza.

„Hetta! wiśta! wio! siwki, równo razem bierzcie!
Wrzep ta, Józek, batogiem naręcznej kobyle,
Bo szarpie lejcowego i zostaje wtyle!
Jeszcze bróżda ostatnia, koniec orki wreszcie!

Hola! hola! odprzęgnij konie i weź brony,
By zawlec i roztrząsnąć spokładane skiby,
Obzieraj się za siebie ciągle wtył, a gdyby
Perz nabijał się w zęby, odrzucaj na strony!"

Poganiacz zawlókł rolę, jak mu nakazano,
Tymczasem oracz wsypał do zapaski zboże
I zaczął prawą garścią siejbę, w imię Boże,
Rzucając ziarna w rolę, świeżo zaoraną.

Przeżegnał się, ku niebu wzniósł skroń ogorzałą
I westchnął: „Boże, pomóż, by ziarno, w zagony
Rzucone, wzeszło bujnie i przyniosło plony
Dorodne z treścią zdrową i w słońcu dojrzałą!".

Ziarna sypkie na rolę garścią wprawną miota
Tak miarowo, że szemrzą jak deszczu kaskada,
A gdy skończył, narzędzia na wóz znowu składa,
Wio! siwki, boć na dzisiaj skończona robota!

Sianokosy

„Witajcie! Jak się macie? Co ta, Kacprze, słychać?"
— „Nic nowego. Oznaki są, że przejdą deszcze:
Jaskółki już wysoko, dym zaczyna prychać
Prosto w górę, słońca się doczekamy jeszcze".

„Bóg zapłać za pociechę! Trza kosę poklepać,
Jeśli Pan Bóg da zdrowie, to jutro o świcie
Zaczniem kośbę. Trza potraw wysiec i roztrzepać,
By na słońcu sechł, niby toksina na sicie".

— „Ostańcie z Bogiem! Jutro zejdziem się przy kośbie".
Tak się chłopy zmawiają pomiędzy opłotkiem
I babom każą grabie szykować; po prośbie
Do kuźni idą z kosą, by poklepać młotkiem.

Zanim słońce wyprysło iskrami złotemi
Na niebie, już sąsiedzi podążają boso
Ku łące ścieżynami, od rosy mokremi,
Każdy z pasem, osełką i ostrzoną kosą.

Stanęli obok siebie na długość kosiska
I, plunąwszy w dłoń raźno dla dania rozmachu,
Sieką cięciem miarowem, aż rosa w krąg pryska.
A trawa się im ściele do nóg — jak z przestrachu.

Co chwila ostrzą wprawnie osełkami kosy
I dalej w ruch, boć pali dłonie im ochota.
Pobrzęk kos się roznosi po kropelkach rosy
I w zielsku połysk stali się srebrnie migota.

Pokosy się na łące kładą w równe smugi
Z przedziałami jak barwne łowickie lampasy,
Słonko leje zwysoka na nie żaru strugi,
Gasząc świeżość ich miazgi i barwność ich krasy.

Kosiarze już zmęczeni. Akurat w południe
Jagusia im posiłek w dwojaczkach przyniosła
I wodę w dzbanku. Trwają, aż jadło przechłódnie,
A potem łyżki puszczą w obrót, niby wiosła,

Przeżegnawszy się krzyżem świętym, jak przystało.
Tymczasem baby jęły trawę tylcem grabi
Roztrząsać, by schła lepiej i by ją przewiało.
Gdy wzruszono pokosy, rozległ się skrzek żabi,

Który zmęcił zwiastuny miłe: klucz bocianów,
Krążących nad łąkami, jak przy kośbie bywa.
Jeden stanął naprzeciw Jagusi wśród łanów
Potrawu, skrzywił główkę i mrugnął: szczęśliwa!...

Kobieta uśmiechnęła się doń tęsknem okiem,
Walenty zaś do Kacpra szepnął, pełen dumy:
„Widzi mi się, choć trudno być naprzód prorokiem,
Że was, Kacprze, poproszę pewnie w zimie w kumy"..

Uczone dzieci

„Uważcie, Wojciechu, na przyszłą niedzielę
Syn Pastuły, ten Antoś, prymicje odprawi,
Toż to będzie ścisk wielki narodu w kościele.
Gdy Antoś przy ołtarzu z monstrancją się zjawi!

Jaka radość dla ziomków, dla krewnych pociecha,
Jakie szczęście mieć księdza we wsi i w rodzinie,
Jest się przecie czem chlubić, bo to pierwsza strzecha,
Która taką dostojność wychowała w synie!

Ja także stanę blisko ołtarza, gdy zacznie
Głowy ściskać i ziomków ręką błogosławić,
Trzeba tylko w skupieniu pilnować się bacznie,
Aby w porę łeb wytknąć i prędko nadstawić".

„Juści, człowiek zazdrości Pastule, mój szwagrze,
Że się syna doczekał w komży i ornacie,
Mój Jasiek mógłby, hycel, księdzem zostać także,
Gdyby nie był światowcem, jak Wicek po bracie.

Pono uczy się dobrze, ale przemądrzały,
Wszystkiemu, co w chałupie jest, czyni przytyki,
Że tak niby Piast jeszcze żył w czasach Kupały,
A my mamy te same z prawieków nawyki.

Każe okna otwierać nawet podczas zimy,
Bo to niby zaducha płucom ludzkim szkodzi,
Piec naprawić, bo z dartek i łuczywa dymy
Gryzą oczy, gdy w komin dym wprost nie uchodzi.

A to wadzi mu chlewek i gnój koło chaty,
Że to niby nieładnie i smrodu niemało,
A to rażą go w izbie poszczerbane graty
I wiszące obrazy świętych pod powałą.

Mierzi także go jadło, że maszczone sadłem,
Nie spojrzy na barszcz, kaszę, maślankę, serwatkę,
Ciska łyżkę i w pole ucieka przed jadłem,
A potem o ryż, kawę nagabuje matkę.

Moiściewy przewroty czyni wciąż w chałupie
Że tośmy niby ciemni, jak te w jarzmie woły,
Ja ta jednak mam gdzieś jego myśli głupie,
Skaranie Boże za to, żem go dał do szkoły!"...

„Ha, trudno, szwagrze, Jasiek strychnie się na pana,
Kiedy taki grymaśny i taki odmieniec,
Może jaka dziedziczka chce go rozczochrana,
Niech go bierze za swego, bo walny młodzieniec!"

Babie lato

„Obejrzećby się zdało zaoraną rolę,
Czy się sąsiad gdzieś nie wdarł pługiem w miedzę wspólną
Ruszże się, stara, z chaty!" — drapiąc się po czole,
Nalegał chłop w niedzielę na babę potulną.

Przyodziała się chustką, podwiązała trokiem
Warkocz i poszła z chłopem gospodarskim krokiem.
Przeleźli przez zatyłek furtką wprost na pole,
Co sznurami zagonów sięga ku stodole.

Na miedzach tu i ówdzie widać gospodarzy,
Jak z babami troskliwie przepatrują pola
Odgadując, co i gdzie lepiej się wydarzy,
Wszak nadzieją na plony żyje chłopska dola.

Sąsiedzi wymieniają zdania przez zagony
Tak donośnie, że pogłos mknie w odległe strony,
Odbija się w parowie i w dalach przestrzeni
Milknie zwolna, uśpiony przez ciszę jesieni.

Na polach łyse plamy. Zniknęły zbóż łany,
Wydarto len i grykę, wycięto kapustę,
Sterczą tylko wyciętej kapusty kaczany
I ziemniaków badyle zeschłe. Zresztą puste

Pola świecą skibami świeżemi lub rżyskiem.
Słońce krąży po niebie już mniejszem koliskiem
I jak magnat, gdy resztki majętności trwoni,
Garście złotych promieni ciska z górnych łoni.

Pod ciepło muskającym słonecznym promieniem
Wykłuwają się piórka zbóż ozimej runi,
Jakby chciały gołość pól zasłonić odzieniem
Zieleni, co się w bujne kędziory kołtuni.

Nitki przędzy pajęczej snują się w przestworzu
I muśliny z oprzędu pajęczego tworzą,
Jakby chciały oplątać ziemię w to przędziwo,
By spała snem spokojnym przez zimę mroźliwą.

Wróble, wrony i kawki, i inne stworzenia,
Co wierne polskiej ziemi na zimę zostały,
Podszywają swe futra z pierza lub włosienia,
Bo im się wyleniły wśród lata w upały.

Chociaż jeszcze do zimy kawał czasu spory,
A słońce gore światłem w złociste kolory,
Nie trzeba ufać jego pieszczocie promiennej,
Ni uśmiechom, co blakną zwolna w letarg senny.

Wincenty Burek

Waluś

Ino szumi, tak się uwijają. Krzątanina w oborze, żwawa robota w chałupie. Jednym tchem, dowyrypu. Żeby juścić zdążyć do pierwszej gwiazdy i na porę wszystko naładować. A tyle tego wszystkiego! Placki z prymnej sodomirki być muszą. Bez kiszek teżby się nie obyło. A co mówi postnik? Postnik trza prychcić ano jak zazwyczaj: godzinami, we wszystkich fajerach, w przerozmaitych garczkach, patelniach, rondelkach coporęczniejszych. Ze wszystkich kominów wali dym pod mgławe niebo, w każdej tutaj chałupie rozbiegli się ludziska przy wilijnej robocie. Gęby się im porozjaśniały do tych świąt co idą, a w każdym ruchu, stąpnięciu wybija się uciecha. Że to się doczekało w zdrowiu i sile tej wilji kochanej.

Uciecha uciechą, pełno tej uciechy na wsi o tym czasie, ale gdybyś wziął i złożył na razem wszyściuteńkie ocińskie uciechy, toby jeszcze chyba nie wydoliły społem na tę jedną. Na tę uciechę, co się rozgościła od wczorajszego listu w chałupie Kozła bez ręki i dzisiaj jarzy się tylim blaskiem w jego oczach, w bruzdach na gębie, w każdem słowie ciskanem do baby. Nawet ta jedna ręka - sierota, a i to nie dynda markotnie, ino się rozmachała w gorączce i majta się nikiej w kołowrotku. Uciecha, uciecha! Ani w niej usiedzieć w chałupie, ani co robić, ani gdzie się podziać. Jakże tu usiedzieć, kiedy coś porywa i pcha oczy ku oknu. I za próg ten niespokój różowitny wygania, żeby popatrzeć na drogę, czy aby... Czy aby go nie widać, czy nie śpieszy z dalekiej drogi ten syn ukochany, ten drogi, serdeczny Waluś. Tyle lat się splezło, a jego nie było. A dzisiaj będzie. Przyjedzie do ojca. Na samą wilję nadąży.

— Waluś! Najlepsze dziecko. Pociecha moja na tem świecie — wykrzykuje do baby, krzątającej się chybko wedle wilijnych frykasów. Wziął se ją za żonę już po wyjeździe Walka zagranicę, to dzisiaj chciałby się mu tą macochą przekazać, że zuch i zdatna w robocie. I że potrafi zadbać o starego, o kalekę, bidaka i wyrobnika, co ze stróży nocnej na tym Ocinku żyje. No juści. Trza chłopaka przyjąć jak się patrzy, uczęstować z podróży, przytulić jaknajmilej. To się samo rozumie.

— Boc na dzizke! Zeby sie ciasto nie zakwasiło — martwi się spod okna, gdzie się usadowił od rana i coraz popatruje na drogę poprzez szparkę wychuchaną w omroziałej szybie. — I o frochtach nie zaboc!

— Nie bój się, Jantoni, kazbym jo tyz... —surda się Kozłowa, sama mocno przejęta tym gościem zdaleka i przyjęciem co się tu dla niego szykuje. Niespokoi ją też nieznany pasierb, trochę się go nawet i stracha, że może będzie na nią krzywo patrzał, może mu się coś w macosze nie spodobać. Jakto młody, a do tego światowiec i znający się na inszem życiu, aniżeli takie oto tutaj. To trza się dla niego wysilić na najlepsze, najskuteczniejsze w smaku.

— Słysys, stary? Leć do Płazy po wiązecke siana — dogania chłopa od samego rana. — Jo tu owedze kiełbasy na jutro, zacem się postny borzc wstawi na cygon.

— Obierz bedki, bo jo miese dzizke!

— Oberwij korzonki u susonych śliwek! Trza my w piecu polić.

— Stanij se przy ogniu, a jo polece po patelnie do placków.

Rób to. Styrknij tamto. Poskuć jeszcze w tem i owem. Inszym razem ofuknąłby Kozieł Bezręki tę swoją kusiajdę, ale teraz? Odklejał się od swojej warty przy oknie i niechętnie bo niechętnie łapał się mańkutem za wyznaczoną pomoc dla baby. W młodych latach urwała mu maszyna prawą rękę, to miał czas popóźniej wyćwiczyć tego mańkuta tak zmyślnie, że w niejednej robocie leniej se poradzał jedną ręką, niż niejeden dwiema. Więc teraz uwijał się z robotą woczymieniu, żeby ino móc wyglądać przez okno lub się posiańdać na ośnieżoną drogę. Żeby wypatrzeć jeszcze lepiej czy Waluś nie zdąża. I żeby złapać na drodze kogoś piśmiennego, ktoby mu wyczytał z wczorajszego listu te ucieszne słowa, że gość najdroższy zawita do jego obrębów. Z dziesięć razy mu ten list czytali, umie już na pamięć to pisanie, ale wciąż mu go za mało. Chciałby się nacieszyć temi słowami, utwierdzić ich prawdę przez cudze usta, pochwalić się przed ludźmi swojem weselem. Jakże? Wszyscy się cieszą dzieckami, familją, a on ma być najgorszy? Tyle razy przepędzał święta w pojeden czy potem we dwoje, i zawsze bez widoku ukochanego dziecka, co musiało iść w świat za chlebem. Aż się i odmienił smutny los, aż i nadejdzie w czas świętej wilji tamten śmiech w chałupie i radość, jak kiedy tutaj chował się Waluś na pociechę ojcom.

To dla niego tak pachnie dzisiaj izba. Dla niego śmieją się ściany białością, obrazy mienią się czyściutko i jakby się nikiej poożywiały na tę wiadomość, że stanie dzisiaj przed niemi ten, to się wkiedyś małym chłopaczkiem modlił do nich w nieskładnym pacierzu. Łóżka pozaściełane szykownie wspinają się pod powałę grubizną poduszek i obiecują dosyt wytchnienia dla podróżnego. Na półkach szafy unosi się smak od zwojów kiełbas, boczku i inszej gawędziny na użytek jutra i pojutra. W kątku zieleniеje pochętnie tęga flacha okowity, żeby ano ochotniej przygryzało się jadło w ostrości napitku. Na ziemi wedle pieca siedzi już niezgorsze pieczywko placków i paruje pulchnym zapachem. Ot, i jeszcze te niecułki wydziannych kiszek wsadzić do pieca, i za gotowanie się brać co tam we zwyczaju. Stoją napogotowiu garczki, patelnie i olej do racuchów, rozpala się ogień pod blachą, na dworze robi się szarawo, wnet nadejdzie zmierzch, zaraz zabłyszczą świeczki, wkrótce zamruga nad Orłową Górą pierwsza migotka na wysoczyźnie, żeby za stół zasiadać, do postnika się brać.

A Walusia jak niema jeszcze, tak niema.

— Wis co, Jantek, a moze un dzisioj nie zdązy — powątpiewa Jantoniowa. — Moze nadjedzie jutro, abo jaz po świetach.

— Ajno, oplata świata! Napisoł, ze na wilijo, to na wilijo. Ino go tu patrzyć.

— To cegóz go nima do ty pory?

— Cegóz? Głupioś i tyle. Kolij sie spóźniła, abo juz jest gdzie na wsi. Ludzie go strzymali woli godki. Zrozumiałaś?

— Zrozumić zrozumiałam, ino ze...

— Ze co? — wrzasnął, bo już ciężko strzymać tego niespokoju, któren gada oto słowami kobity. W nim się to samo kotwasi, myśli chodzą po głowie jak skołowaciałe, no bo juścić i wieczór wgramolił się do izby, a o Walusiu ani słychtu. Może się opóźni, może aż hola w wieczór się pojawi, ale żeby zwiódł ojca i nie przyjechał... nie, wszystko, ino nie to. Nie bywalo, zeby wkiej wiary w czem nie dochował. I dziś dochowa. Kozieł Bezręki głowęby założył, że tak będzie.

Już ino postnik galanto się przyładził. Na blasze stoją rzędem wystawione garnuszki z różną warzą. Ostatni racuch schodzi z patelni w rozprysku oleju. Kozłowa odgarnia kapki potu z frasobliwej gęby i wodzi oczami po tylim swoim plonie dzisiejszego dnia. Jest rada z roboty, że udatna. Ino, żeby ten Waluś...

I noc się rozczapierza nad światem niewiodku wkiej. Pozaokniu jakby płachtę kto rozwiesił, nie widać nic, drogi nie widać przez obchuchaną szybę. Tylko światła migocą w ludzkich chałupach, znak, że wilja zacznie się wnet odprawiać. Już się odprawia, bo ani się czyj krok rozlegnie po grudzie drogi, ani pies nie zaskowyczy śród tego spokoju w zapłociach. Nad Górą Orłową trzepie się w blasku gwiazda najpierwsza.

U Kozłów cicho. Jak tam za oknem, na całej wsi, naokoło. Nie gada się nic, ani półsłowem. Ino się czeka na chybkie kroki, ino się dech strzymuje na to przyjście. Ława wpodle stołu, siedzą oboje na tej ławie, spojrzenia lecą ponad sianem, na którem opłatki. Ku oknu lecą, ku drodze.

— Nie! Nie strzymom — zerwała się cisza od słów Kozła bez ręki. — Polece...

— Kaj polecis? — dziwi się Kozłowa.

— Na dwór. Na droge pu mostowi.

— No to idź! Jo zackom.

Wdział bondę, czapę wepchał na uszy i wypadł z ciepłości izby na ziąb. Zaskrzypiał śnieg pod butami, mróz zaczął gryźć rozgrzane policzki, ale Kozieł Bezręki tego nie czuł.

Widziało mu się, że oto idzie na spotkanie syna, że ino ten zakręt, już-już, a zejdą się oba i rzucą się na siebie z całowaniem. To go popycha i gna pod górkę i dalej na koniec wsi, ku gościńcowi, którędy Waluś będzie musiał iść od kolei. O, i rzeka. Rzeka szkli się lodem, most sadzi skokiem ponad nią. Tu będzie czekał.

Po rozdolinie lata wiater, wszędzie spokój w mgławem okolu. Zza kicharskiej góry wytacza się miesiąc i zapala iskry na śniegach. Nieżywe światło budzi cień na moście. Cień przylgnął do barjery, leży cierpliwie, czasem się poruszy. To Kozieł Bezręki zatupie nogami dla rozgrzewki, zabije ręce i znowu martwieje w niemocie. Wpatrzył się w Laskowiec, gdzie jest ta najpierwsza droga stamtąd zdala. Drgnął, kiedy pies zadziamał koło chałupy tam pod Laskowcem. Minuty przedłużają się w wieczność. Nie, ani żywego ducha. Znowu czekanie.

Czas schodzi, miesiąc się coraz wspina, budzi się wieś po postniku. Ode wsi lecą pokrzyki, hałasy. Rozradowane głosy dziecek wywrzaskują z sadów przy wiązaniu drzewiny. Gwar. „Bedzie rodziła! Nie bedzie rodziła, ścinać ją! U nos bedą śliwecki, grusecki, a u Macieja same ogryzecki!!..." Zgóry gapi się na toto miesiąc i nikiej się uśmiecha pyzato.

Dawno już przegnał wiatr ostatnie echa wsioskiego wilijnego gwaru, kiedy cień na moście odsunął się od barjery i począł się wlec ku wsi. Cień nikły, skulony, przełamany. Pomaluśku się ciągnął, jakby nie o swojej sile. Przystawał po drodze, odpoczywał, sztachet się wieszał dla podpory. Ostatkiem sił dobrnął do drzwi.

— Nima Walusia — jęknęło mu się samo od progu.

W milczeniu siadły starowiny do postnika. Z żalem wielkim i w smutku. I jeszcze z maławą nadzieją, że chłopak nadejdzie. Na Walusia czeka przecie opłatek i te miseczki z warzą. Jedzą oboje, ale jadło jakoś im nie smakuje i w gardle więźnie. A myśli obojga wciąż się oplatają wokół nadziei, co zwiodła tak przykro. Ano, cóż poradzić na takie przeciwieństwa. Trza se i to przyjąć, skoro się los obszedł tak niełaskawie. Trza, to trza!

— Ha, widać ześmy se nie zasłuzyli na to sceście, co się obiecywało — próbuje Kozieł jakoś rozruszyć smutne myśli. Niebardzo mu się to udaje, więc zwiesił głowę i gmera frasobliwie w różnych domysłach i przypuszczeniach. Co się też mogło przydarzyć, że taki zawód oto?...

Późno, chyba o północku zebrali się do spania. Lampkę ostawili w oknie niezgaszoną. Na wszelki wypadek.

Sen długo nie nadchodził. Kozieł Bezręki obracał się na wszystkie boki i na nic, Waluś stoi w myślach, Waluś, czekany gość. Nikiej na czystej jawie widzą go oczy, jak tu jest i żyje wespół z ojcami. Ale to było wkiejś, dawnemi czasy, bo teraz... teraz go nigdzie tutaj nie uświadczysz.

— Waluś!... — szepcze i z tym szeptem hola w nocy zasypia.

Raptem zrywa się na łóżku. Oczy przytomnieją, uszy całe w czujnem słuchaniu. Ktoś stuka we drzwi ode dworu. O, słychać wyraźnie jak ręka maca za klamką, potrząsa drzwiami.

W mrugnięciu oka wyskoczył spod pierzyny i jak stał, poskoczył do sieni. W dygotce radości odsunął zasuwkę. Rozwarł drzwi szarpnięciem.

Na progu stoi ciemna postać chłopa.

— O mój to syn kochany!...—I z temi słowami rzuca się mu na szyję.

A tamten ani drgnie. Stoi wyprostowany i rękami odpycha białe widmo. I coś bełkoce. Kozieł Bezręki tego nie słyszy, ino się coraz wtula w przybysza i całuje po zimnych buziakach. Aż wraca opamiętanie i myśl, że trza do izby.

— A chodźże, tyleśmy się naczekali...

Laboga, co to znaczy? Gość coś mamroce, nie rusza się z sieni i naraz dzikim głosem wyjąkuje:

— Któ... która godzina?...

Marjo święta! To nie Walusia głos. Kto to jest? Kozieł Bezręki szarpie przychodnia za rękaw i wleczy za sobą do izby. Słabe światełko rozjaśnia spod okna ciemności.

Jeden błysk oka i już widno w głowie. Nie Waluś to, nie Waluś. W progach izby wykrzywia się głupi Józek zza Ożarowa. Znają go tu na Ocinku wszyscy, bo przylatuje czasami do ciotki Kodrotki, co siedzi posąsiedzku. I dziś go przygnało, a że u ciotki nie chcieli mu widać otworzyć, to zalazł od sąsiada.

Kozłem zatrzęsła złość. W furji poskoczył do głuptasa, chwycił go knykciami lewaka za bary i wrzasnął ile mocy:

— Poszoł won ode mnie!...

I kolanem pchnął przywłokę do sieni, ino drzwi jęknęły na zawiasach.

Niełopic wsparł głowę o futrynę i tak zastygł na długą chwilę. Tamten w sieni stał se w kątku jak trusia i nie wychodził. Cisza się przetaczała w zamarciu tych trojga.

Bezręki Kozieł przecknął się zniebaczku i powiódł oczami po chałupie. Zajrzał do sieni, zapatrzył się tam i po chwili:

— Chodź, Józef, do izby! To nic, to nic...

Przynaglił kobitę, żeby coduchu przyładowała dla chłopaka jakiego jadła. Poczęstował go kieliszkiem wódki woli rozgrzewki. A popóźniej wsunął się chyłczkiem pod pierzynkę i poglądał se na chłopaka jak zawijał posiłek w uciesze i ze smakiem.

Czuł wtedy Kozieł Bezręki, że od samego serca rozchodzi się po nim radosne ciepło i takie szczęście, jakie wkiejś tutaj przebywało. Dawniej, o tym czasie, kiedy tu był Waluś.

Stanisław Cywiński

Barok w Polsce

Słusznie Juljusz Kłos w swym przewodniku po Wilnie, podkreśla w baroku „temperament szczerości", który pobudzał „dowypowiedzenia się bez zastrzeżeń wszystkie odrębności usposobienia narodów. Styl ten mieni się w interpretacji każdego narodu innemi barwami i światłami". Toteż on szczególnie „Polsce trafił do serca"; w żadnym stylu „temperament polski nie wypowiedział się tak wyczerpująco i różnorodnie, jak w baroku".

Przynieśli go do Polski Włosi i od schyłku 16go wieku wznoszą oni u nas całe mnóstwo kościołów i innych budowli barokowych. Więc naprzód Jan Marja Bernardone buduje i planuje jezuickie kolegja i świątynie w Nieświeżu, Kaliszu, Poznaniu, klasztor p. p. Brygidek w Gdańsku, kościół św. Piotra i Pawła w Krakowie. Niebawem powstają klasztory i kościoły Bernardynów w Kalwarji Żebrzydowskiej i we Lwowie, Kamedułów na Bielanach pod Krakowem, kościół św. Kazimierza w Wilnie (1604), św. Anny w Krakowie, kościoły w Połocku, Pożajściu, Pińsku, w Krzemieńcu i t. d., wreszcie najpiękniejszą w Polsce barokowa świątynia: kościół św. Piotra i Pawła w Wilnie. Nieco później powstają wspaniałe pałace barokowe Firlejów w Janowcu, Lubomirskich w Wiśniczu, słynny Krzyżtopór Ossolińskich w Ujeździe, zamek Koniecpolskich w Podhorcach, Słuszków, Sapiehów, Radziwiłłów w Wilnie, Krasickich w Krasiczynie, pałac Krasińskich, Kazanowskich, Koniecpolskich (dziś pałac Rady Ministrów na Krakowskiem Przemieściu) — w Warszawie. Ten ostatni wznosi Konstanty Tencalla, mistrz ten sam, co buduje kolumnę Zygmunta III i bodaj także kaplicę św. Kazimierza w Wilnie.

Podobnież pokrywa się Polska mnóstwem barokowych pomników i nagrobków, oraz — mniej licznych — płócien, ujawniając niemal stale, jak mówi Kopera, własne polskie „stosowania barokowe".

Równocześnie, od r. 1618, gdy ukazuje się Piotra Kochanowskiego przekład Goffreda Tassa, przenika barok do poezji, dając upust fantazji i animuszowi polskiemu. Bardzo słusznie już w r. 1873 pisał Karol **Mecherzyński**, (wuj Stefana Żeromskiego), że „literatura w. XVII miała swój charakter właściwy i uwagi godną oryginalność, dla której wiek ten nie może być uważany za przerwę zupełną w umysłowym postępie. Zapał religijny i polityczny, tak żywo odbijający w pisarzach tej epoki, swoboda w użyciu dowolnej formy, okazująca poczucie się na własnych siłach, zdumiewająca obfitość i fantazja, przerosłe w nadmiar i wybujanie, — dowodzą, że literatura miała pod sobą grunt żywotny i płodny. Pod względem ducha narodowego i swojskości wyrażeń pisarze ówcześni byli rzeczywiście mistrzami swojej epoki. Mimo smak dziwaczny nigdy piśmiennictwo nasze nie było wierniejszem społeczeństwa i wieku swego wyobrażeniem, nigdy żywioł narodowy tak w niem silnie i miejscowo się nie rozwinął... Cokolwiek w społeczeństwie było żywotne, wyrażało się i odbijało w piśmiennictwie. Wszędy pojęcia i wyobrażenia, panujące w narodzie i tkwiące w charakterze społecznym, służyły za wzór i modłę pojmowania, myślenia, opowiadania. Pisarz nie krępowany żadnemi względami powagi, przyzwoitości i smaku, rozwijał wszechstronnie tę umysłową swobodę i oddawał wszystko w ten sposób, jak naród cały po swojemu czuł, myślał i wyrażał. Szczeropolskie serce, zamiłowanie swojszczyzny, pełność życia i myśli, jakie radzi widzimy np. w Reju, nagradzają brak ukształcenia, poprawności stylu i smaku. Podobnież u pisarzy w. 17-go widzisz nieforemność postawy, jasność i szorstkość charakteru, zdrożny i rozwiązły dowcip; lecz obok tych wad zazwyczaj wielką siłę liryczną, męskie i prawdziwie narodowe rzeczy ujęcie, szczerotę i niewinność. Posługuje w tej mierze język całemu narodowi właściwy, powszedni, towarzyski, pełen swobody i łatwości, acz nie strzegący stałych i koniecznych zasad. Żadne tam słowo nie było wydziedziczone, żadna hierarchja językowa nie oddzielała wyrazów gminnych, potocznych, i rubasznych od wyrazów szlachetniejszej mowy, uczonego i książkowego stylu. Wszystkie narodowe kształty mówienia, przysłowia, porównania, z żyjącego słownika wzięte, weszły do stylu ówczesnych pisarzy. W poezji, wymowie, dziejopiśmie, i wszystkich zgoła rodzajach literatury jeden widzimy język, jeden styl, jedną ogólną cechę: narodowość i popularność".

Tę bajeczną charakterystykę w. 17-go, sformułowaną przez Mecherzyńskiego przed 60 laty, potwierdza dziś **Brückner**:

„Poezja 17-go wieku przedstawia ten wiek o wiele wyraźniej, wydaje głębię ducha jego, jest bardziej narodowa, niż poezja 16-go w.... Humanizm 16-go wieku ścierał różnice czy cechy narodowe, nacjonalizm czy partykularyzm w. 17-go ostro je wydaje, nawet w doborze słów, nietylko treści: poeci nie stronią od wyrazów gwarowych, pospolitych; tak samo różni się obrazowość: teraz nie ograniczają się klasyczną, czerpią z życia i otoczenia".

Inny wreszcie uczony, niedawno zmarły Stanisław **Dobrzycki**, podkreśla „wybitne podobieństwo i łączność między wrażeniem baroku, jako sumy zjawisk artystycznych, a syntetycznem i zbiorowem wrażeniem literatury polskiej tego okresu. Jak tam, tak i tutaj mamy do czynienia z wrażeniem złożonem, mieszanem. W całości tej literatury widzimy wielkie zalety: rozmaitość, bogactwo tonów i nastrojów, obfitość motywów i form, życie i ruch, zamaszystość i energję, przepyszne odbicie materjalnego i duchowego życia ówczesnej Polski, czyli nadzwyczajną łączność z duszą narodu. Ale obok tych świateł silne są i cienie, potęgujące się tembardziej, im dalej posuwamy się chronologicznie".

Nikt nas jednak nie zmusza w tym szkicu, „posuwać się dalej". Zatrzymujemy się, pomnąc o łacińskiem przysłowiu: **abusus non tollit usum**, bo nadużycia, które wytwarza barok (jak każdy zresztą styl i każde zjawisko), bynajmniej nie są nieodpartą koniecznością. Ustalamy natomiast fakt: barok bardziej, niż jakikolwiek prąd duchowy, odpowiada charakterowi narodu polskiego, wyzwalając w nim najgłębsze jego wartości.

Jan Mier[illegible]owski

Marta

Nowela

Ostatni rok szkolny rozpoczął się inaczej. Zaraz pierwszego dnia pomiędzy zwykłe powitania i wspomnienia wakacyjne wplątywało się uporczywie: Jak z Martą? Czy są jakieś nowe wiadomości?

— Nie słyszał pan?

— Nie.

— Coraz gorzej Mówią, że beznadziejnie...

Wyraz „beznadziejnie“ powtarzał się nader często Ale nie był najgorszym i ostatnim. Tuż za nim szedł inny; widziało się go; poprostu samochcąc wyglądał spod powiek i natychmiast ginął w porozumiewawczem mrugnięciu. Bywało wszakże,iż ktoś przyciszonym głosem kończył: dysk. Dosłownie kończył. „Dysk“ był pewnego rodzaju pointą szkolnych rozmów. Dalej się nie szło. Raz tylko, pamiętam. ktoś wyłamał się i rzucił: „A drugie uderzenie w samochodzie? Wreszcie nie należy bagatelizować i wrodzonych dyspozycyj psychicznych“. Spojrzał dokoła: głowy nie wykonały żadnego ruchu, oczy patrzyły gdzieindziej.

W trzy dni później na mieście rozlepiano nekrologi.

Początkowo siedziała na pierwszej, potem na ostatniej ławce, pod oknem. Światło padało na jej ziemistą cerę i ciemno - blond włosy. Nie była brzydka, ani tem bardziej ładna: nijaka. Tyle tylko, że dziwnie niesharmonizowana z wiekiem. Twarz niemal stara, a lat dziewiętnaście. Dziewiętnaście — dopiero w drugim roku, bo akurat między pierwszą a ostatnią ławką mieścił się drugi rok ósmej klasy wraz ze łzami które się widywało na lekcjach. Nie była zdolna. Mimo systematycznych wysiłków i dużej pracy — nauka przychodziła Marcie z trudnością. Wszystko było wykute i niestety krótkotrwałe. Oznaka kiepskiej pamięci? Zapewne, ale i wielkiej nerwowości. Pamiętam, że ilekroć wywoływało się Martę do odpowiedzi, podrywała się z ławki tak nerwowym ruchem, jakby była spłoszonym przez myśliwego ptakiem. Wrażenie przykre. Inne odpowiadały swobodnie, niekiedy nawet rezolutnie. Marta nigdy. Jakiś wewnętrzny pośpiech nie pozwalał jej powiązać myśli w logiczną całość, zamknąć w proste, porządne zdania. Pędził przez usta strzępami myśli, zdań i słów, natrafiał na nieprzewidziane przeszkody: powstawały luki, tworzyły się tamy, wątek gubił się w jąkalstwie. Przeszło półrocze. Było parę dwójek. Potem gwutygodniowa nieobecność z powodu grypy. I rezygnacja. Marta zrozumiała, że nie będzie, bo nie może być dopuszczona do matury. Uprzedziliśmy jej rodziców o tem zawczasu. Niech państwo wyślą Martę na wieś. Niech odpocznie, nabierze sił. Jest mizerna.. Na przyszły rok pójdzie jej lepiej“. — Nie chciała. Chodziła nadal dzień w dzień do szkoły, notowała, uczyła się, uważała... i tylko niekiedy — bardzo rzadko — prędkim, zażenowanym ruchem ścierała z policzków łzy.

Tymczasem rozpoczęły się egzaminy. Okres, który jest zmorą zarówno dla nas, jak i dla dzieci. Jedne zdawały lepiej, drugie gorzej; jedne wychodziły z sali triumfujące, choć bardzo blade, inne wybuchały za drzwiami tłumianym płaczem i chowały twarz w zmiętych chusteczkach. Pomiędzy niemi i z niemi przez wszystkie dni piśmiennej i ustnej matury — była Marta. To uspokajała, to cieszyła się, to znów niosła słowa pociechy, a czyniła to jak zawsze nieśmiało, prawie niewidocznie, z sercem. Pamiętam, jak jedna z abiturjentek, zdrowa, rosła dziewczyna. wypadła z sali jak bomba, wpadła na pierwszą Martę, złapała ją wpół i dalejże hasać z nią w zawrotnych piruetach. Patrzyłem przez uchylone drzwi. Abiturjentka puściła już Martę, frunęła gdzieindziej. Marta stała jeszcze chwilę na środku, tak jak ją porzuciła triumfatorka, stała uśmiechnięta jeszcze i tylko ręką wykonała prędki, zażenowany ruch.

Teraz Marta siedzi na ostatniej ławce i jest trochę opalona. Zaczął się nowy rok szkolny, drugi rok ósmej klasy. Nauka idzie Marcie niewątpliwie lepiej. Ma wprawdzie jeszcze spore braki z łaciny i dość słaby polski, niemniej jednak na okresowej sesji wszyscy stwierdzają, że jeżeli tak dalej pójdzie, powinna otrzymać maturę.

Tymczasem w parę dni po owej sesji wydarza się coś, co przejmuje wszystkich zgrozą i stawia pod dużym znakiem zapytania niedawną opinję Rady Pedagogicznej.

Było tak.

Klasa ósma coraz niechętniej chodziła na gimnastykę. Wiele uczenic było zdania, że jeżeli jakąś korzyść miały z tych lekcyj odnieść, to już ją — prawdopodobnie — odniosły, a w każdym razie tych parę tygodni niebardzo wpłynie na ich sprawność i konstytucję fizyczną. Uległy psychozie matury. Wpatrzone w nią, jak w Itakę, po dziewięcioletniej odysei szkolnej, obojętnie reagowały na sportowe ambicje nauczycielki, jakoweś - tam odznaki P. O. S. i t. p., natomiast chętnie zwalniały się z ćwiczeń i uczyły po kątach „przedmiotów egzaminacyjnych“ lub poprostu zadanych lekcyj. Oczywiście władze szkolne musiały przeciwdziałać podobnemu lekceważeniu tak ważnego przedmiotu! Tylko zupełne „niedołęgi“ zostały zwolnione, i to na mocy orzeczenia lekarki szkolnej, wszystkie natomiast „normalne“ skazano na przymusową edukację mięśni. Prawdziwie jednak sprawnych było mało. Toteż większość — w tej liczbie i Martę — odkomenderowano do grupy gier i zabaw sportowych z „siatkówką“ na czele; resztę zaś — nieliczną jak każda elita — sposobiono do laurów i świetnych wyczynów.

Otóż na jednej z takich lekcyj, gdy część była zajęta przerzucaniem przez siatkę piłki, a druga sposobieniem się do zawodów lekkoatletycznych, zdarzył się tragiczny wypadek. Niesposób ustalić: kto był naprawdę winien? Czy nauczycielka, t. zn. jej nieuwaga, czy któraś z uczenic, czy też przypadek? — dość, że odbywały się właśnie próbne rzuty dyskiem. Po lewej stronie (względnie obszernego boiska) rozległy się śmiechy grających w „siatkówkę“; po prawej — stała nauczycielka i grupka zawodniczek, które miały kolejno wykonać przepisowy rzut. Kiedy przyszła kolej na jedną z nich, zdrową i rosłą dziewczynę, dysk, rzucony silniej niż poprzednio ale nieprawidłowo, przeciął plac naukos — akurat w kierunku grających... Krzyk! Krótki. pojedyńczy. Potem gromadny. Ktoś upadł. Zamieszanie...

Marta została uderzona dyskiem w głowę z lewej strony nad skronią. Zemdlała. Rana mocno krwawi. Pogotowie. Opatrunek. Marta zostaje odwieziona do domu.

*

Długo nie przychodzi do szkoły. Niebezpieczeństwo minęło. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Na szczęście nic poważnego. Przynajmniej tak twierdzą doktorzy. Owszem, już wkrótce Marta zjawi się w szkole i wszystko pójdzie znowu normalnym trybem. Rzeczywiście. Na ostatniej ławce znowu siedzi Marta i uśmiecha się do klasy i do nas, którzy żartujemy z całego zajścia. Stopniowo nawet zapominamy o niem, gdyż jesteśmy całkowicie pochłonięci powtarzaniem kursu przed maturą. Wprawdzie słyszymy coraz częściej bądź od wychowawczyni, bądź od koleżanek Marty, że ją boli głowa, że dziś nie trzeba jej pytać, ale nie zwracamy jakoś na to większej uwagi; poprostu przemęczenie — myślimy. Utwierdza nas w tem zresztą sama Marta, która sądzi podobnie. A tu tymczasem zadaje się całe fury do domu, pyta się, pyta, pisze... bo matura tuż - tuż, bo tegoroczny delegat ma być istną męczydUszą, bo regulamin... i t. d. Wszyscy są podnieceni i zdenerwowani, Marta zaś do tego stopnia, że absolutnie nie można z niej żadnej, ale to żadnej wydusić odpowiedzi. Siedzi pochylona nad książką lub zeszytem, ściska dłońmi skronie i czegoś się uczy i uczy, i ciągle uczy.

Mówią, że wysiaduje do późna, że potrafi w nocy nawet zerwać się i znowu siadać do książek. Drży, że jej nie dopuszczą, że nie zda, że nic nie umie, że już wszystko zapomniała! A tu nie sposób sobie przypomnieć o co napewno zapytają! Bóle głowy są coraz bardziej uporczywe i nieznośne. W skroniach łupie, wierzch głowy wypycha coś do góry... — Marta, kładź się spać! Zostaw to wszystko! Jeszcze się rozchorujesz — i co będzie? — Nic, nie. To głupstwo, ona wytrzyma. Już niedługo. Potem odpocznie! — I znowu ślęczy nad książką, ściskając dłońmi skronie.

*

Piśmienny poszedl nieźle. Zato z ustną maturą było doprawdy rozpaczliwie. Widać było, że z Martą dzieje się coś niesamowitego, że nie może już zapanować ani nad myślami, ani nad słowami, ani nad sobą. Od straszliwego wysiłku nabrzmiały jej żyły. czoło pękało pionową zmarszczką, oczy wbijały się w stół, jakby w nim jednym szukała ratunku! Mówiła głupstwa. Tak potworne głupstwa, że delegat kategorycznie sprzeciwił się wydaniu matury. Pamiętam, jak musieliśmy przekonywać, molestować, tak, molestować! Stół był dosłownie zawalony całorocznemi pracami Marty, papierami, papierkami, aktami... I znowu argumenty, prośby, błagania... Wreszcie delegat ustąpił.

Marta zdała! Ale już jej nie było na korytarzu. Zrobiło się jej niedobrze. Dwie koleżanki odwiozły ją do domu. Jak przyjęła wiadomość? Podobno nie miała sił, by się cieszyć.

*

Nazajutrz gruchnęła po szkole wieść, że Marta została sparaliżowana. Cała prawa strona bezwładna. Nawet prawa gałka oczna skrzywiła się do środka; powstał zez. — Biedna Marta!—mówiono. — Tak się biedactwo napracowała, tak bardzo marzyła o zdaniu matury!...

Po paru jednak dniach nastąpiła znaczna poprawa. Marta mogła sama przyjść na rozdanie matur. Widzę ją, jak z czarną przepaską na prawem oku, schowana za koleżankami, z jeszcze bardziej ziemistą cerą i postarzałą twarzą — stoi oparta o ścianę i słucha przemówień: — jednego, drugiego, piątego... Potem odbiera tak upragnione świadectwo dojrzałości, przyjmuje nasze życzenia i jakby się lewym kącikiem ust uśmiecha.

— No widzisz, Marta, widzisz. Masz nareszcie maturę! Teraz powinnaś odpocząć, naprawdę odpocząć!

*

Przyszły wakacje. Jeden pojechał tu, drugi tam. Wszyscy rozkoszowali się słońcem, swobodą. O szkole zapomniało się doszczętnie. Niestety! Ani się człowiek obejrzał, kiedy znowu wchodził na trzecie piętro pierwszego dnia szkolnych zajęć. I właśnie wtedy — pomiędzy powitania i wspomnienia wakacyjne — najbardziej nieoczekiwanie wplątało się:

— Czy słyszał pan o Marcie?

— Nie. A co takiego?

— Jest z nią tak źle, że beznadziejnie. Doktorzy opuścili ręce. Niech pan sobie wyobrazi: trepanacja czaszki, wrzód na mózgu, ropa.

— Jezus Marja, co pani mówi? Przecież już chodziła!...

— Tak, ale na początku lipca nastąpiło gwałtowne pogorszenie. Straciła przytomność. Całą dobę leżała, jak martwa. Przewieźli ją do szpitala. Doktorzy zamiast natychmiast zrobić prześwietlenie czaszki, na coś czekali. Leczyli ją na zapalenie opon mózgowych. Tymczasem coraz gorzej i gorzej. Wreszcie zdecydowali dwa tygodnie temu trepanację. Znaleźli wrzód. Codziennie robią opatrunki. Marta po każdym z nich jest tak wyczerpana, że zapada jakby w letarg.

— Czy jest przytomna?

— Chwilami. Wczoraj naprzykład poznała Olę. Nie, nie mówi już i nie porusza się, bo paraliż wrócił. Kiedy pytają: Marciu poznajesz? — uśmiecha się leciuśko lewym kącikiem ust. To wszystko. Jeszcze niedawno, kiedy mogła mówić, zwierzyła się Irce: — Wiesz, mnie się wydaje, że w sierpniu będę już na wsi. Przyjedziesz do mnie, prawda? Będzie tak dobrze! — A drugim razem, nawet nieco później, gdy słyszała, że matka płacze i mówi: „Ach ten dysk! Potrzebna ci była, moje dziecko, ta lekcja!“... Marta dopiero po chwili, gładząc matkę lewą ręką po sukni: — Nie, matuś! To głupstwo, przejdzie. A jak już wyzdrowieję, to...

*

Marta nie żyje. Umarła wczoraj o dziesiątej wieczorem. Jeszcze rano tego dnia była przytomna. Już nie robili jej opatrunku. Poco męczyć? I tak chwile policzone. Tylko zakonnice przychodziły od czasu do czasu, podnosiły jej lewą rękę i oglądały paznokcie, czy już sinieją, czy jeszcze nie? Marta była przytomna na tyle, że rozumiała. Toteż co pewien czas sama dźwigała wychudzoną, bladą lewą rękę, przez chwilę trzymała ją wzniesioną, a potem opuszczała cichutko na kołdrę. Tak. Ona też patrzyła: czy sinieją już, czy jeszcze nie? Od szóstej rozpoczęła się agonja. Powolna i bardzo cicha. Przyszedł ksiądz i namaścił Olejami świętemi. Podobno przed samą śmiercią drgnął jeszcze lewy kącik ust Marty.

Może dawała Bogu znak. że Go poznaje?...

Zdzisław Broncel

Luksusowe wiersze

O nowym zbiorze wierszy M. Pawlikowskiej

Poezja Pawlikowskiej jest pewnego rodzaju luksusem. Kwiatem w wazonie w pokoju, gdzie brak jest najpotrzebniejszych rzeczy. Gdybyśmy równocześnie mieli lirykę heroiczną, gdyby w naszej poezji szła walka między wierszem Tuwima „Do prostego człowieka“, a jakąś nową odą do młodości i do ojczyzny, wtedy twórczość typu Pawlikowskiej nie wywoływałaby alarmów.

Skoro jednak tak jest, jak jest — kiedy to w Warszawie mamy szlifiernię szkiełek skamandrytów i zabawę w sztuczne ognie, a w Krakowie ciągle jeszcze stadjum eksperymentów, wtedy każdy nowy tomik lekki, beztroski, wytworny, słowem taki, jak „Śpiąca załoga“ uprawnia do sygnalizowania: źle! Nie mamy prostej poezji, przemawiającej mocnem, prostem słowem do prostej publiczności.

Poezja ograniczyła się do wirtuozowstwa. To tak, jakby w muzyce były same kompozycje pisane na użytek wirtuozów, pełne efektu i blasku, ale bez treści. Technika, a nie myśl, umiejętność i talent, a nie natchnienie.

Właśnie takie same są przeciwieństwa między poezją, którą mamy, a której chcemy. Dzisiejszy wiersz jest rezultatem spopularyzowania pewnej techniki — techniki metafory. Metafora doszła do przerostu. Mamy zepsute rococo metafory, wyrażające się w zamiłowaniu do wierszy z pointe'ą. Najczęściej pointa jest w nich końcowym elementem przenośni; początkowe strofy dają obraz rzeczy, mających być porównanemi, a pointa błyska niespodzianką tertium comparationis, które związuje dwa obrazy poetyckie, pozornie bardzo odległe. W tem sedno efektu. Wzruszenie, wywołane takim wierszem powstaje na podłożu intelektualnem: uchwycenie efektu, ocena i wreszcie — uczuciowo zabarwione uznanie dla autora —jakżeś ty to zrobił niezwykle i pięknie!

Oczywista, że taka poezja ma dwie konsekwencje: nie jest życiem, jest tylko jego ozdobą, luksusowym dodatkiem, powstaje nie z potrzeby wewnętrznej, ale z umiejętności znalezienia przenośni i pointy, po drugie — nie zostawia śladu w duszy czytelnika. Zapominamy. Spływa po nas, jak woda.

Im bardziej jakaś sztuka ma swój atut wyłącznie w formie, tem trudniej jej samą formą wywołać dla siebie uznanie. Dziś — w poezji forma musi być naprawdę mistrzowska, ażebyśmy pozwolili sobie na luksus bawienia się małemi pieścidełkami.

„Śpiąca załoga“ *) Pawlikowskiej w wielu wierszach prezentuje doskonałość formy. Po tych wszystkich zastrzeżeniach, jakie trzeba było zrobić ze względu na beztreściowość klanu poetów. do którego należy Pawlikowska, można teraz powiedzieć, że efekt metafory jest u Pawlikowskiej najzdrowszy i najprostszy.

Wiersze Pawlikowskiej mają już dziś swoją renomę. Do ich piękna są dwa klucze.

Pierwszy. Przenośnia Pawlikowskiej jest zwięzła. Wirtuozowstwo wysokiej klasy, a trwa krótko. Akurat tyle czasu, ile jesteśmy zdolni unosić się nad estetyką formy. Akurat tyle, żeby nas nie uraził brak treści. W zwięzłych cztero, sześcio, czy ośmiowierszach nie miejsce na daleką pointę. Pointa bije odrazu z pierwszej linji. Olśnienie efektem jest skondensowane. Metafora została schwytana jakby w soczewkę. Wystarczy dla przykładu zacytować doskonały „Śnieg“:

„Śniegu,
Baranku Boży!
Gładzisz grzechy świata
I białymi lokami brzydotę rozmiatasz..
W koło igra iskrami pogoda szczęśliwa,
A ty klęczysz —
I śmietnik
Piersiami zakrywasz“.

Druga tajemnica. Pawlikowska odwraca porównanie. Zamiast przyrównać do czegoś konkretnego, wyraźnego szuka zbliżenia ze zwiewnem, nastrojowem, nieokreślonem. W ten sposób osiąga subtelność i symboliczność wiersza. Taki np. zwrot z „Pary kanarków“ jest wyraźnym przykładem:

„Ona w dywanu zagon wtulona
Cała j a k s e r c e z miłości kona“.

Albo jeszcze wyraźniej w jednym z dawniejszych wierszy:

„Wybrzeże coraz to bledsze
W liljowej pół - żałobie —
Żagiel oparty na wietrze,
J a k j a n a m y ś l i o t o b i e“.

Tam, gdzie Pawlikowska trzyma się wiernie tych zdobyczy formy. mamy w „Śpiącej załodze“ małe arcydziełka. Wiersz tytułowy. Para kanarków. Wiewiórka, Kukułka i zakochani, Samobójstwo dębu. Mgła, Rozbite gniazdo — to są perełki drobnej kobiecej liryki.

Oto, jeśli ktoś chce się przekonać:

„Na ścieżce — gniazdo rozbite.
Szmat puchu, wełny i nitek.
Skorupka. piórko zielone
Żałosne wskazują losy...
Znalazłem w niem też
Splecione,
Moje i twoje włosy“.

Natomiast, tam, gdzie usunięty został czynnik osobistego wzruszenia autorki (np. Stary lokaj Jan, Mieszczański kredens) powstaje rzecz sztuczna, rozwlekła i wtedy ogarnia aż zdziwienie. Jakże dziś poezja wyzbyła się wzniosłości! Jak łatwo być poetą, jeżeli tak puste i niepotrzebne wiersze są kartą wstępu do literatury.

Z tego punktu widzenia — należałoby skreślić prawie pół zawartości „Śpiącej załogi“. Pawlikowska w swym tomiku nie wytrzymała poziomu. Sympatykom poetki wiersze „Secesja“. „W poczekalni u adwokata“, „Do stuletniej“ i parę innych sprawiają przykry zawód.

„Stary lokaj Jan“ zasługuje na szczególną uwagę. Właśnie ze względu na swoją błahość. W jakim celu napisano ten wiersz? Trzy zwrotki po cztery linje. W dwóch pierwszy obrazek — lokaj podaje do stołu, w formie — zapowiedź żonglowania imieniem Jan, a teraz w trzeciej figiel autorki, która z zestawienia imienia lokaja i imienia św. Jana zrobiła sobie zabawkę, dowcip. a nam wiersz.

„Pomylono półmiski. Toast w uszach tętni! —
Głowę, kulę kościaną w smugi siwopłowe
Położyłby na misie i zasnął najchętniej
Jak święty, co przy uczcie także stracił głowę“.

Teraz nie zdziwimy się. że po marnowaniu talentu w takich bałamuctwach nie ma Pawlikowska dość siły, ażeby uderzyć krzykiem i protestem tam, gdzie broni sprawy ogólnoludzkiej. gdzie całą duszę włożyła w swój wiersz.

W rozmowie, prowadzonej wkrótce po wyjściu „Śpiącej załogi“ autorka mówiła mi, że najgoręcej związana jest z wierszem „Prawo nieurodzonych“. Pawlikowska stoi po stronie świadomego macierzyństwa. Więc oczekiwalibyśmy istnego wybuchu, proklamacji walki o prawo nienarodzonych do szczęśliwego życia, do radosnego oczekiwania rodziców, do sprawiedliwości i opieki. Tymczasem kończy się wszystko na precyzyjnych trójwierszach, które nie wznoszą się ponad ton perswazji. Wiersz wysoce artystyczny, ale nikły wobec tematu. Tak samo nikły, jak „Epitafjum lotnicze“, gdzie przecież miała być obrona prawa do sławy tych wszystkich, którym okoliczności nie dały tak głośnego zgonu, jak Żwirce i Wigurze.

W ten sposób mści się rozestetyzowanie, kult formy, służenie poezji luksusowej, wytwornej i opartej najczęściej o mózg, a nie o serce.

*) Marja Jasnorzewska (Pawlikowska): „Śpiąca załoga“. Str. 50. Pod znakiem poetów. Serja nowa. Warszawa 1933, J. Mortkowicz.